

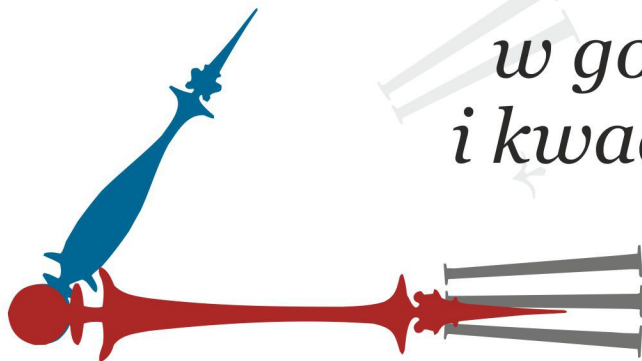
XVII

dramaty

Jerzego

Szaniawskiego

*w godzinę
i kwadrans*



**Robert
Żebrowski**

III

**rysunki
Błażej Małczyński**

EWA

Znawcy fizyki twierdzą, że wszechświat od momentu Wielkiego Wybuchu rozszerza się nieustannie i proces ten obejmuje w sposób powszechny i równomierny wszystkie jego miejsca w każdym czasie. 'Co bądź' istnieje, oddala się zatem od każdego innego 'cokolwiek' nieuchronnie, wytwarzając coraz większy dystans pomiędzy tymi obiektami.

Człowiek bardzo bogaty, władający rozległym nowoczesnym pałacem (niegdyś dworem), z wykształcenia architekt, z upodobania i tradycji hrabia, z zawodu dobrze prosperujący budowniczy, Sołtanowicz – miałby w tym względzie nieco inny pogląd. Oto bowiem zaiste cały świat widzialny i ten poza zasięgiem naszego wzroku zapewne rozjeżdża się nieustannie, ale w pewnych jego fragmentach zachodzi nieusprawiedliwiona żadną teorią osobliwość – niektóre obiekty nagle w sposób niewyjaśniony koncentrują się, zbliżają się ponadnormatywnie, przecząc schematowi narastającego oddalania i przewidywalnego dystansu. Na przykład ludzie.

Póki co Sołtanowicz prosperuje znakomicie. Utrzymywanie dworu, który jest eleganckim i ekstrawaganckim pałacem funkcjonującym poprawnie w demokratycznym otoczeniu uświadomionej społecznie wsi, to zadanie niezbyt trudne. Wystarczy mieć dostatecznie obfite dochody, dostatecznie dobre maniery, dostatecznie zaprzyjaźnionych lokalnych chłopskich aktywistów i dostatecznie piękną żonę, dopełniającą pełni. Sołtanowicz zawładnął tymi wszystkimi elementami i wszystkie je kontrolował na co dzień budując w spokoju komfort oświeconego arystokraty wśród uświadomionego de-

mokratycznie plebsu. Wybudował ze swych nadmiarów finansowych dom ludowy, szkołę, nowe czworaki – i orzekł, że to było dobre. Siódmego dnia odpoczął i stwierdził, że przydałby mu się jeszcze kościół.

Widzimy go przez rozległą szybę oddzielającą pałacowy taras od pałacowego salonu, gdy w salonie tym debatuje ze społecznym komitetem budowy nowego kościoła w jego wsi. Za dostojnym, ale nowoczesnym stołem zasiedli reprezentatywni nosiciele demokracji: miejscowy wójt, podstarzały proboszcz, odczytany w broszurach uświadamiających lud młody gospodarz, miejscowy nauczyciel i wszędobylska pani Zejnowska, niezastąpiona orędowniczka społecznej aktywności wszystkich sfer we wszystkich sferach. Komitet zebrał się, aby rozstrzygnąć konkurs na projekt nowej gminnej świątyni.

Projekty wpłynęły dwa. Jeden z nich wygrał już w głosowaniu komitetu. To wizja stworzona przez konserwatywnego architekta Szeffera, promującego „styl narodowy”. Bryła świątyni klasyczna, a wokół parkan z wypustkami ukazującymi na zmianę to krzyżyk, to kogucika. Co do wartości narodowego stylu komitet niemal w całości wykazał wcale nie zadziwiająca zgodność. „Nasz” kościół musi być wszak narodowy, bo po latach niewoli coś nam się, w końcu, należy. Społecznik prawdziwy, członek komitetu, nie może iść w poprzek dziejowej okoliczności narodowej szansy.

To oglądane przez tarasową szybę posiedzenie miało być tylko formalnym potwierdzeniem jedynie słusznego wyboru. Ale pozostawiło po sobie posiew gorącego niepokoju.

Sołtanowicz – też, jak uczestnicy konkursu, architekt – ale i wizjoner, buntuje się. Nie przeznaczy swoich pieniędzy na kolejną banalną produkcję obrazującą w cegle i kamieniu narodowy banał – proponuje budowę kościoła według projektu drugiego, który w głosowaniu komitetu przepadł. To, według niego, dzieło wyjątkowe, choć nie „ładne”, wizjonerska konstrukcja odnosząca się do absolutu boskiego w sposób właściwy – bo tajemniczy. Uczestnicy spotkania protestują. Wszak głosowali. Po cóż więc było to głosowanie,

ta demokratyczna farsa, skoro i tak rządzi ten, co ma na budowę kościoła pieniądze?

Przez rozległą szybę pałacowego salonu słabo widać myśli uczestników sporu. Ale kiedy obrażeni uzurpacją hrabiego i darczyńcy członkowie komitetu opuszczają w podnieceniu demokratycznym jego salon obrazurcy, co postanowił postawić „nowoczesny” kościół dla jakiegoś niechrześcijańskiego boga w ich gminie, granica konfliktu rysuje się dostatecznie wyraźnie, nawet przez zamgloną szybę. Bogaty arystokrata postawił na swoim. Będzie „pięknie”, ale któż to jego piękno zrozumie? Kiedy interlokutorzy Sołtanowicza wsiadają do sań, aby odjechać do domów lub na kolej, wszechświat ponadnormatywnie rozpręża się, oddalając obiekty od siebie bardziej, niż fizyką wielkiego wybuchu przepisane.

Ale nie martwmy się, niebawem nastąpi rekompensata.

Tymczasem oburzeni członkowie komitetu budowy kościoła tkwią w swoich siedzibach, a w pałacu Sołtanowicza jego żona, Ewa, oczekuje niecierpliwie przyjazdu architekta Jaszczółta, którego projekt postanowił jej mąż zrealizować mimo opinii ogółu. Byłoby nieuprawnionym skrótem powiedzieć, że Jaszczółt to człowiek; Jaszczółt – to problem; problem dla wszystkich.

Pech chciał, że wybierając projekt kościoła Sołtanowicz nie miał pojęcia, kto jest jego autorem. Odnalazł go dopiero dając ogłoszenia w licznych gazetach. A teraz żałował, że go odnalazł, okazało się bowiem, iż ów zdolny niezmiernie twórca był kiedyś z Ewą blisko związany co najmniej uczuciem, jeśli nie czymś więcej. W chwili zaskoczenia, oszołomiony odkryciem, zaprosił go jednak Sołtanowicz do siebie szybką depeszą, deklarując, że dzieło jego zostanie wybudowane.

Teraz Sołtanowicz żałuje tego kroku w poprzek powszechnych upodobań. Wyobrażamy sobie, jak bardzo żałuje, wtedy, gdy jego żona zwierza się młodszej siostrze Stefce ze swych tęsknot, których mimo dostępnego jej luksusu i obfitości dóbr mąż zdaje się nie dostrzegać; wyobrażamy sobie, jak żałuje, gdy małżonka wysyła na stację konie po mistrza architektury, dbając o każdy szczegół, a szczególnie o futra, aby dawny ukochany nie zmarzył; jak żałuje,

gdy Ewa niemal własnoręcznie sprawdza, czy gościnne łóżko dla Jaszczolta dostatecznie dobrze pościelone; ale szczególnie wyrazisty jest w swym spóźnionym żalu Sołtanowicz podczas kłótni przez żonę sprowokowanej, podczas której Ewa wytyka mu, iż jest ona tylko dodatkiem do jego pozycji, jego pałacu, jego fortuny, jego przodków na portretach – ale przecież może rzucić to wszystko i iść dalej, dalej...

Pośród tego wewnętrznego żalu Sołtanowicza przyjeżdża do jego pałacu nie sam oczekiwany mistrz, konkurent – ale jego skromny, niski, wschodniej nieco urody, mało atrakcyjny wysłannik, przyjaciel – Łanowski. Jaszczolt we własnej osobie przybyć chwilowo nie mógł, lecz skuszony propozycją wystąpił kogoś, by nie przegapić pierwszej okazji zobaczenia swego projektu nie na papierze – lecz w naturze.

Domownicy i gość Sołtanowicza układają się do snu, każdy w swym pokoju, każdy ze swymi obawami i lękami, niektórzy z nadziejami, inni tylko z przedsennymi zjawami wokół zmęczonej głowy. A sam Sołtanowicz ciągle żałuje i zadziwia się: przecież jako architekt z wykształcenia doskonale wie, że wszechświat powinien nieustająco i równomiernie rozszerzać się, stwarzając dystans między obiektami coraz większy; a tu nagle taka niespodziewana i nieplanowana bliskość tego przeklętego Jaszczolta; Sołtanowiczowi śni się wielki wybuch odwrócony w czasie – wszystko zbliża się do siebie i niebawem obiekty ulegną nieuchronnym zderzeniom; budzi się spocony i zmęczony.

Kiedy ma się na głowie okazały pałac i utrzymujące go wielkie przedsiębiorstwo, a ponadto żonę, co nagle ozdobą pałacu i firmy mogłaby przestać być – nawet poranne zmęczenie nie usprawiedliwia lenistwa. Bo przecież jak się myśli, to zawsze coś się wymyśli.

I Sołtanowicz wymyśla plan, który ma wszechświat na właściwe tory przywrócić. Łanowski zostaje odesłany do Jaszczolta z informacją, że co prawda hrabia chce bardzo kościół jego zbudować, ale jeszcze gmin musi zdanie swoje wyrazić w powszechnym głosowaniu; przesłanie do konkurenta jest uspakajające, ale nieubłagane w wymowie – Jaszczolt doskonale wie, że plebs jego dzieła nie

uzna. Nic Jaszczółtowi nie przyjdzie z tego, że w końcu znalazł czas na dłuższą podróż i zaraz po wyjeździe Łanowskiego pojawia się u Sołtanowicza. Nie zastaje go w domu, bo wiele się teraz dzieje.

Hrabia zwołuje w trybie pilnym komitet budowy kościoła do księzowskiej plebanii, gdyż proboszcz zachorował i szkoda go wozić do dworu. Stawiają się wszyscy, nieco zaskoczeni takim obrotem spraw, ale czyż planety nie stawiają się codziennie na swoje stanowiska, i skąd wiadomo, czy nie są tym zdziwione? Zebrani na plebanii z satysfakcją słuchają nowej opowieści Sołtanowicza, słuchają hrabiego, co kaja się przed gminem za swój niedawny wybryk arystokratycznej samowoli. Hrabia wydaje się im być szczery, wręcz staje się w tej szczerości spolegliwy. To co, że projekt Jaszczółta lepszy jest według mnie od projektu Szteffera? Wszak ja tam co niedziela nie chodzę, chodzi gmin, chodzi większość. Nawet nie my – komitet – ale ta większość właśnie, wieś cała, powinna głosować. Dlatego wnosi Sołtanowicz ze sobą do plebanii dwie tablice z projektami – jeden na zielonym, drugi na czerwonym tle – i ogłasza, że za chwilę w domu ludowym, podczas zebrania, każdy będzie mógł wrzucić do urny zieloną lub czerwoną kartkę. Niech lud decyduje.

Komitet jest pod wrażeniem; komitet klaszcze i wydaje z siebie wielkie, inteligentne: Och! Oto demokrata, oto pan na dzisiejsze czasy! Zbiorowo, jak na komitet przystało, udają się wszyscy do domu ludowego z czerwoną i zieloną tablicą na przedzie oraz zestawem kartek w takich samych kolorach.

To, co dzieje się potem na plebanii, obserwuje tylko proboszcz. Przechodzi Jaszczółt, nie znalazłszy hrabiego we dworze próbuje u proboszcza. A tu dla Jaszczółta zaskoczenie: zamiast dobroczyńcy Sołtanowicza – jego żona Ewa, co na głosowanie iść nie miała ochoty. Konfuzja. Dziwny dreszcz. Kiedyś przecież coś, dawno, ale trudno zapomnieć, zmienił się on, ona też się zmieniła, jednak, może, znów... Ewa jest wobec Jaszczółta ciepła, przyjazna, pełna nieokreślonej bliżej nadziei na coś..

Jaszczółt jest zaskoczony, ale nie tak, jakby Ewa chciała. Jaszczółtowi wierzyć się nie chce, iż jego niemal już zrealizowane ma-

rzenie, jego kościół, staje się właśnie w tej chwili obiektem gminnego przetargu, jakiejś prymitywnej demokracji. Wie, że w tej konwencji nie ma szans. Mimo nalegań Ewy, aby poczekał choć na werdykt, prosi o konie na stację. Nic tu po nim. A dawna miłość? Patrzy na nią teraz Jaszczółt przez cienki papier odrzuconego projektu. Jego wszechświat przyspieszył biegu i wszystko zaczyna się nagle oddalać od niego w ponadnormatywnym tempie; architekt czuje, jak bardzo nadzieja podatna jest na rozpraszający impuls Wielkiego Wybuchu, pomimo tego, iż nie jest (ona, nadzieja) obiektem fizycznym.

Wracający z domu ludowego komitet budowy tryumfuje, a na jego czele tryumfuje Sołtanowicz. Kościół będzie w stylu „narodowym”. To nic. Niech będzie i „narodowy”, ale nie będzie to kościół Jaszczółta. Tłum, co ściska rękę hrabiego w podzięcie za szacunek hrabiego dla demokracji, za chwilę ulegnie standardowemu efektowi fizycznemu i zacznie się powoli, skutecznie oddalać. O to przecież chodzi w demokracji; i o to samo chodzi światłemu arystokracie. Tak samo oddalać się będzie Jaszczółt, choć – myśli Sołtanowicz – daj mu Boże jakiś sukces, byle daleko.

A Ewa?

Co Ewa? O co właściwie pytamy – czyż nie wystarczy jej, że stała się tytułową bohaterką dramatu znanego pisarza? Mogło się przecież tak zdarzyć, że dramat ten nazywałby się „Wytworny szachraj”.



ISBN 978-83-963109-0-3
Stowarzyszenie „Zegrzynek Szaniawskiego”
Legionowo, 2021



Druk wersji papierowej sfinansowano ze środków
Samorządu Województwa Mazowieckiego
w ramach projektu „Szaniawski – (na) skróty do Zegrzynka”



Partner projektu: Stowarzyszenie Autorów ZAIKS